Uradowało się serce jego na widok celu swojéj podróży, wszakże w stosunku, w jakim się zbliżał do niego, rosła niespokojność duszy, którą kołatała myśl smutna, i przyspieszał kroku właśnie, jakby go gnała troska głosem przeczucia obudzona. Przebył po kładce strumień ciekący po kamieniach i znajdował się przed bramką podwórza. Ta stawiona wedle mody, miała piąterko z ganeczkiem do koła; nad nim daszek wznosił się w kształcie baniastéj kopuły. Bramka otworem stała na podwórze, rozścielone zielono pod stopy dworu, który acz z drzewa zbudowany, miał okazałą powierzchowność; z jednéj strony dworu stała oficyna, daléj kuchnia, z drugiéj folwark i spichlérz, stodoły i obory zakryte były oku. Zajęty przywoływaniem sobie do pamięci, owych dni dawno ubiegłych, które na tém miejscu, w tym domu w młodszéj życia dobie i w weselszém usposobieniu duszy przepędzał; stał nasz podróżny w bramie w postaci dumającego, kiedy odgłos dzwonka obił się o ucho i sercem gwałtownie zatrząsł. Widok wychodzącego z domu księdza w komży, którego poprzedzał organista z pochodnią i dzwonkiem, był zaiste widokiem gwałtowne wzruszenie budzącym. Podróżny załamał dłonie, padł na kolana, oczy zapełniły się złami, i westchnął boleśnie, mówiąc do siebie: »Za późno przybyłem!« Po odejściu księdza, kiedy odgłos dzwonka w oddaleniu słabo tylko dochodził do ucha; powstał klęczący i krokiem ciężkim i powolnym, właśnie jak upadający pod brzemieniem smutku, zbliżył się do dworu. Wszedł do sieni, nie spotkawszy tamże nikogo, ściągnął za klamkę i otworzył podwoje, wiodące do izby. Ciemność i cisza czyniła ją podobną do jakiego grobowego podziemia. Znajdujący się w niéj ludzie zachowywali się tak milcząco i nieruchomie, iż sam widok tego tłumu milczących a osmutnionych postaci przerażał. W rogu komnaty stało łoże, na niém leżący człowiek w ostatniéj konania godzinie. Byłto pan Wojski Radecki, Królowej-Ruskiéj pan. Już wszystkie barwy, wszystkie odcienia bijącéj w człowieku krwie żywotnéj pospełzały z twarzy; stała się bladą, nieruchomą, bez wyrazu, bez mowy dla otaczających go bliznich. Cień od kotary, co zasłaniał okna, połączył się z cieniem śmierci już zawieszonym nad czołem konającego, tylko blask żółty od gromnicy, którą trzymał leżący niezgrabnie w swych palcach, połysnął czasem po obliczu i odbił się w oku, jakby w suchém śkiełku. Widok konającego czyni wrażenie i budzi myśli wielkie. Do téj duszy, co ulata od ciała, łączy się dusza nasza, łączą się myśli nasze, unoszą się ku niebu; w takiéj chwili wierzajcie, każda myśl nasza jest modlitwą, każde westchnienie nabożeństwem. Nie długo trwało to ostatnie pasowanie się życia ze śmiercią; z ręki konającego wypadła gromnica i zgasła. Pan Królowej-Ruskiéj żyć przestał.

»Już skończył, wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niech mu świéci na wieki! Amen.« — »Wieczne odpoczywanie!« powtórzyła tłuszcza.

»Klęknijmy!« odezwał się znowu głos ten sam. I uklękli wszyscy. »Mówmy *Ojcze nasz*, *Zdrowaś Maryja* i pięć razy *odpoczynek*.« I rozszedł się po komnacie szmer ust szepcących pacierze, śród którego dał się słyszéć głośny lament dziecięcy; byłoto młode pacholę w ubraniu kozaczém, które w przyległéj izbie siedząc na ziemi, szamotało głową, a jęczało temi słowy: »Cóż ja teraz pocznę biédny? pomarł mój pan, mój dobry pan; on był mi ojcem, był dobrodziejem; mój ty miły Boże! cóż ja teraz pocznę?«

Nikt nie uważał na głośno lamentującego siérotkę, a przecież niczyjéj uwagi nie uszło ciche łkanie szlachcica z Borku. Wchodzącego do izby postrzegli niektórzy z obecnych, nie dawali jednak baczenia na przybycie acz nieznajoméj osoby; ale jego szczéry smutek, żałoba głęboko wyryta w twarzy, a więcéj obfite łzy, które daremnie ukryć, nadaremie utamować usiłował, obudziły u niejednego z czeladzi ciekawość, ktoby był ten obcy, dzielący tak rzewnym sposobem smutek powszechny? Kiedy skończono modlitwę i powstawano, obcy postąpił kilka kroków, i przytuliwszy nieco płaczu, odezwał się do najbliżéj stojącego: »Wybaczcie, pozwólcie mnie ucałować rękę mojego dobroczyńcy!« Na ten głos przemówiony tonem przenikającym do serca, rozstąpili się wszyscy. Obcy stanął bliżéj łoża, na kolana upadł i ustami przylgnął do zimnéj ręki zmarłego, i nie powstał piérwéj, aż posłyszał głośno

rozmawiającego w przyległéj izbie. Głos to był znajomy, poznał po głosie brata swego stryjecznego pana Kaspra Dzięgielowskiego, i teraz dopiéro upewnił się w swoich domysłach, że ten w żółtéj kolasie jadący był bratem jego stryjecznym i stał się powodem nieszczęścia i szkody, jaka go spotkała na grobli. Ta okoliczność wszakże nie kładła jemu tamy w wypełnieniu tego, co przepisywał obowiązek i zwyczaj, i szedł powitać stryjecznego. Figura wysoka, zamaszysta, buchasto ubrana, w bótach skrzypiących i z hałaśliwym pałasikiem objawiła się jego oczom.

»A krzyż święty mospanie!« zawołał pan Kasper Dzięgielowski, »mamże wierzyć oczom moim, pan brat tutaj? a mospanie, nie spodziéwałem się tego wcale, ażebyś wasze wlókł się z tak daleka, od żony, od dzieci; podejmował podróż taką i to w intencyi, w szkaradnéj intencyi. A panie bracie, jak widzę stroisz kabały, podchodzisz, ażeby wymódz na konającym jaki legacik, jaki zapisek; ale kabała się nie udała, nie mospanie!«

Szlachcic z Borku i zdziwiony i zmieszany takiém przywitaniem oniemiał. Złośliwe słowa raniły serce jego, gdyby sztylety; a przecież na odparcie tego pocisku, na zasłonę niepokalanego dotąd imienia, nie otworzył nawet ust; ale z żałości zapłakał, a wstydząc się może łez swoich, oczy spuścił ku ziemi. Tém zachowaniem się trwożliwém nie powściągnął wszelako języka, owszém dodał nowéj podniety do szarpania sławy, i zadawania ran dotkliwemu sercu. Zmieniła się jednak scena za przybyciem trzeciéj osoby; byłto szafarz, a nieboszczyka Radeckiego najpoufalszy sługa, jako najwięcéj akredytowany mieszał się do rządu w domu i gospodarstwie. Starzec drobnego wzrostu, z głową dobrze łysą, suchy w ciele, na twarzy chudy, z nosem płaskim, ale wydatnym i wąsiskami, którychby się hajdamaka nie powstydził; kaczowatym krokiem przestąpił przez próg i kiwnąwszy głową odezwał się: »A paniczu panie, kłaniam, bez urazy zapytać się godzi, co sprowadza do tego domu w tym dniu naszéj żałoby i klęski. Bez urazy paniczu wielmożny panie, jestem tu szafarzem dworu nieboszczyka, świéć mu Panie! Bogu tak się podobało, wola Twoja! Wybaczcie paniczu panie, język się plącze.« I otarł z oka łzę spadającą.

»A więc waśćto jest w tym domu,« odezwał się pan Dzięgielowski, postąpiwszy krokiem ku szafarzowi, »właśnie kiedy z predestynacyi tak padło, iż przybywam tutaj w samę godzinę śmierci pana Radeckiego, mego wuja; bo trzeba o tém wiedzieć, że Radecka mnie rodzi, jestem najbliższy krewny i *praesumptivus haeres*, to jest: mospanie dziedzic i spadkobierca z prawa; ale widząc ten nieład i zamieszanie w domu, jakto bywa w takowych wypadkach, przeszkadzać nie chciałem i czekałem końca.«

»A paniczu panie,« pomruczał szafarz i musnął ręką po wąsiskach; byłto znak nieukontentowania.

»Masz waść wiedzieć,« mówił dalej tamten, »jestem Kaspar z imienia, z przezwiska Dzięgielowski, najbliższy krewny nieboszczyka, a jako taki żądam tego i dysponuję...«

Na te słowa d y s p o n u j ę twarz szafarza skrzywiła się okropnym sposobem.

»Dysponuję,« ciągnął swoje Dzięgielowski, »ażeby oddane mnie były najprzód wszystkie, gdzie tylko mogą się znajdować pieniądze w gotowiznie, srébra, kosztowności i precioza *et caetera*; *secundo*: o r d y n u j ę mospanie, ażeby oddane mi były do rąk moich wszystkie, jakie tylko znajdować się mogą klucze, od kredensu, od kufrów, od lamusu, od sklepu, spichlerza.

»A paniczu panie Dzięgielowski, czy jak się tam zowiesz,« ozwał się szafarz, rękę prawą nachyliwszy pociągnął od cholew w górę, aż odwinął połę kapoty i podparł się w bok: »Kto tu dysponuje? kto tu ordynuje? radbym wiedział paniczu panie Dzięgielowski, czy jak się tam zwiesz; a jeżeli prawda, żeś paniczu panie ś. p. mojego pana, niech z Bogiem w niebie spoczywa, powinowatym: godziło się, bez urazy, miéć więcéj poczciwości, że nie powiém czego innego; a co się kluczów tknie, paniczu panie, masz wiedziéć, że są w wiernych rękach i nikomu ich nie oddam, Chryste broń! tylko dziedzicowi, a kto nim będzie, pokaże to t e s t a m e n t.«

»Co waść prawisz, jest testament?« ozwał się na to Dzięgielowski; »tém lepiéj, tém lepiéj; idę o zakład, że nieboszczyk mnie, którym najbliższy jego krewny, krzywdę nie zrobił, nié ma i gadania. Powiedzże waść, gdzież ten testament? obaczymy, czy ważny; świadkowie czy są? obaczymy; ale gdzież on jest ten testament? w czyich rękach, gadajże waść?« Na to pytanie swoje ledwoco odebrał odpowiedź: Że testament osnowy niewiadoméj, opieczętowany w kopercie, znajduje się w rękach księdza plebana. Dzięgielowski nie stracił jednéj chwili, wziął za czapkę i na plebaniją prowadzić się kazał.

Po jego odejściu szafarz długo jeszcze trzymał jakby wlepione oczy we drzwi, któremi był wyszedł; wreście przemówił: »A paniczu panie Dzięgielowski, czy jak się tam zwiesz, będę ja piérwéj biskupem Krakowskim, niż ty panem naszéj Królowéj; kluczyków mu się zachciwa? a wara paniczu panie!« I dłużéj byłby mówił do siebie oburzony szafarz, kiedy obecny w izbie brat pana Kaspra stryjeczny, przystąpił do niego i przemówił, postawa mówiącego wydawała smutek i to upokorzenie człowieka dotkniętego nieszczęściem

»Mości szafarzu,« przemówił, »taka wola Boga, téj się poddać winien każdy człowiek; nie wyrzekam, luboć naderto boleśnie dla serca mego, żem wuja, dobrodzieja mojego, nie zastał przy życiu;

umarł nie dawszy mnie błogosławieństwa swojego; mości szafarzu, mam prośbę, nie chciéjcie mnie odmówić przytułku w tym domu do dni kilku; pragnę być obecnym na pogrzebie i oddać dziś w Bogu spoczywającemu tę ostatnią przysługę.«

»Paniczu wielmożny panie,« odrzekł szafarz przybrawszy inną postawę i głos zmieniając, »aż miło słuchać takiéj mowy, wydawasz się być inakszym od tego, że tak powiém z respektem, heretyka, faryzeusza, człowieka bez serca; bo paniczu panie proszę sobie wystawić, krewnym się być mieni nieboszczyka, a widział kto jego smutek, by łezkę jednę w jego oczu? Heretyk! kluczów mu się zachciwa? a paniczu panie Dzięgielowski, czy jak się tam zwiesz, to szczęście twoje, żem ich nié miał w garści, byłbym może z respektem temi kluczami zamalował oczy twoje paniczu panie. Ale jak powiadam, paniczu wielmożny panie, wydawasz mi się być wcale inakszym człowiekiem; widziałem jakieś klęczał, jakieś płakał, a serdecznie płakał; Bóg patrzy w serce człowieka i widzi twoje.«

»Paniczu wielmożny panie,« przemówił po przestanku na poł z płaczem, »łatwo mi zgadnąć, żeś blizki krewny ś. p. pana naszego, a jeżeli co po Bogu najbardziéj życzę, zostaniesz dziedzicem, naszéj Królowej panem: paniczu panie miéj litość nad starcem i dozwól, żebym nie poniewiérał się po świecie i schował tu nędzne kości moje. Ale gdyby ten pan Dzięgielowski, czy jak się tam zwie, miał rządzić w tym domu, być panem Królowej; co niech ręka boska broni, natenczas paniczu wielmożny panie miéj litość nad starcem, przyjmiéj do swojego domu, daj chléb łaskawy.« I schylił rękę, ścisnął kolana pana Jana. »Będę kołysał, dziatki piastował, bajki prawił.«

Rozrzewnił się pan Jan na taką przemowę, ścisnął rękę starca na oznakę swojéj przychylności ku niemu. W téj chwili uderzyły na wieży kościelnéj wszystkie dzwony razem; na tak żałobny odgłos nawróciło się serce każde ku smutkowi i modlitwie. I w domu całym, w całéj wiosce, w całéj parafii modlono się w téj chwili za duszę dziedzica, przeszłą na wieczności łono.

Pan Dzięgielowski, o którym wspomnieliśmy, że się udał na plebaniję, nadziei i niecierpliwéj chęci poznania testamentu, nie zaspokoił. Nadaremnie się domagał, nalégał, nadstawiał się z bliższém pokrewieństwem; ksiądz pleban, wysłuchawszy go najcierpliwiéj i dawszy mu się nagadać do woli, odezwał się z tém zapytaniem: »Czy zażywa tabaczkę?« i podał mu swój rożek; długę chwilę musiał czekać Dzięgielowski, zanim się dowiedział, iż stosownie do nieboszczyka woli, testament nié ma być otworzony piérwéj, aż po odbytym pogrzebie. Dzięgielowski tentował jeszcze, używał prośby i groźby, i kiedy naszamotał się, nagadał, używszy całéj wymowy ust i ręki; pleban niezmieniwszy bynajmniéj ani postawy, ani głosu, dobył powtórnie rożka i poczęstowawszy tabaką gościa, zapytał go: »Czy mu smakuje?« Widząc daremność usiłowań swoich, Dzięgielowski opuścił plebana; wychodząc trzasnął drzwiami, aż się dom zatrząsł cały i klął na wszystkich dziadów w świecie. Cztery dni czekania, téj niepewności, były dla niego prawdziwą męczarnią; dosiadłszy konia, jezdził po polach, lustrował lasy i zaglądał w każdy gospodarski zakątek, a gdzie kogo zastał, czy w lesie, czy na polu, wszędzie rozkazywał, dysponował, wszystko ganił, wszystkich łajał. Nie jednemu dał się we znaki, nie jeden też z dworskich półgębkiem do niego: »Czy cię tu diabli przynieśli? kiedyż go wezmą sobie? Niech nas Pan Bóg zachowa od takiego zawali-drogę!«

Inne było postępowanie Jana; smutek przyzwoity a niekłamany nie schodził z jego twarzy; pobożnym myślom oddany, większą część dnia przepędzał z książką modlitwy w ręku, bądź w kościele gdzie się odbywały msze ś. za duszę zmarłego, bądź przy zwłokach, na katafalku wystawionych, śpiéwając godzinki i psalmy żałobne. Nie mieszał się wcale do zarządu domu lub pogrzebu, tylko na wezwanie szafarza zatrudnił się pisaniem do księży i sąsiadów, zapraszając ich na nabożeństwo i chléb żałobny. Odbył się pogrzeb z całą pompą i przyzwoitą okazałością przy liczném zgromadzeniu księży, obywateli i okolicznego ludu.

Nazajutrz dopiéro po odbytym pogrzebie, wzywany przez Dzięgielowskiego po kilkakrotnie przybył ksiądz pleban; szafarz z panem Janem wybieżali na przeciwko i wprowadzili do izby. Ksiądz pleban w czerstwym jeszcze wieku, lubo z posiwiałym włosem, w progu stanąwszy, sięgnął ręką do czarki u drzwi po święconą wodę, przeżegnał czoło i rzekł: »*Laudetur Jesus Chrystus!*« odpowiedziano: »*In secula seculorum.*« Wstąpiwszy do izby z laską w jednéj, z kapeluszem w drugiéj ręce, obejrzał się do koła, jakby szukał dogodnego miejsca dla laski i dla swego kapelusza. Jakoż w kącie za kredensem ustawił swojego każdéj podróży towarzysza: laskę trzcinową; na niéj zawiesił kapelusz, na kapelusz ułożył w krzyż dwoje rękawic; co sprawiwszy dopiéro pozdrowił obecnych. Po krótkiéj pogadance o pogodzie, wyciągnął z kieszeni pismo w kopercie schowane i opieczętowane, i podnosząc w górę, przemówił:

»Przystępując do ważnego aktu, suplikuję wszystkich tu zebranych, przytomnych i nieprzytomnych oraz wszem obec i każdemu z osobna do wiadomości podaję, iż w téj kopercie zawiéra się testament, *alias* ostatnia wola, ś. p. pana Józefa Józefata *binominis* Żyła Radeckiego, wojskiego sandomirskiego, pana Królowej-Ruskiéj *cum attinentiis*; testament (mówię) pisany i podpisany ręką testatora własną przy świadkach, którym jako i ich

sukcesororom podpisy nic szkodzić nie mają; któryto testament, wedle ustnéj dyspozycyi nieboszczyka nazajutrz po odbytym pogrzebie, *ergo* na dniu dzisiejszym odczytany, *alias* publikowanym będzie; atoli nie inaczéj jak w obecności urzędu gromadzkiego, *alias* wójta i sołtysów, a zatém suplikuję...

»Jeszcze czego? zachody to niepotrzebne cale,« wpadł w słowo Dzięgielowski, »kto słyszał kiedy mospanie, ażeby do publikacyi testamentu wzywano chłopów! mości plebanie jestem tu *interessatus*; domagać się mam prawo mospanie; testament może być czytany, obejdzie się bez chłopa.«

»Suplikuję,« ozwał się nato ksiądz pleban, podając rożek z tabaką, »exekutorstwo testamentu, jeżeli się nie mylę, mnie powierzono, *ergo* mnie parochowi i exekutorowi testamentu przerywać, przeszkadzać, *alias* tryb postępowania w téj mierze przepisywać? bardzo suplikuję, mości dobrodzieju.«

Dzięgielowski czynił jeszcze excepcyję, pomimo takowych posłano po urząd gromadzki. Upłynęła godzina zanim wyszukano wójta i sprowadzono przysiężnych. Dzięgielowski jął znowu nalégać, atoli pleban, wdawszy się w *politica* z panem Janem i szafarzem, który ostatni nie bez tego, ażeby i w *materyjach status* nie umiał wmieszać swoje *quamquam*, nie dał sobie przerywać; zaczęto relacyję o sławnym pogrzebie W. Hetmana, piérwszego senatora, a ostatniego z domu Sieniawskich; *funeralia* we Lwowie zaczęte, a dokończone w Raju pod Brzeżanami, były spaniałego rodzaju, na dowód czego ksiądz pleban obiecywał pokazać dzidę, skruszoną przez p. Kraińskiego, łowczego sieradzkiego, nie mniéj drzazgę szpady, którą pan Bertrand, oberst-lejtnant cudzoziemskiego autoramentu, szczęśliwie złamał; co dowodzi, mówił pleban siłę ręki p. oberst-lejtnanta, alboli, co także przypuścić można, że szpada z kruchego była metalu...«

»Ej, do kroćset, mospanie,« odezwał się głos Dzięgielowskiego; »gromada od godziny czeka.«

»*Ergo ad rem*, przystąpmy do rzeczy,« odparł ksiądz pleban i kazał sobie podać nożyce, któremi rozciął kopertę ostrożnie, nie nadwerężywszy herbowych pieczęci. Z rozciętéj koperty wyciągnął testament i położył go na stole. Dzięgielowskiemu brakowało już cierpliwości; z natury, jakto mówią, gorąco kąpany, nie umiał być panem samego siebie, żywo przyskoczył do stołu i sięgnął ręką. »Suplikuję!« odezwał się pleban, biorąc do ręki testament. Nastało ogólne milczenie, exekutor testamentu odkrząknąwszy, zaczął czytać ostatnię wolę ś. p. Radeckiego, która następującéj była osnowy:

»Znając się być człowiekiem, podległym dekretowi Pana nad pany, Króla nad królmi, Boga »w Trójcy Ś. jedynego, jako rodzący się na ten »świat trybem pospolitym wszystkich ludzi, *nas*»*cendo similem omnibus hominibus amici vo*»*cem plorans*; tak kończąc dni moje jako czło»wiek śmiertelny, mam to niewymazanym charak»terem na sercu wyryte: *statutum est hominibus* »*semel mori*. Temu statutowi jako mizerne stwo»rzenie z wszelką rezygnacyją na wolę Boga się »podaję, a będąc na umyśle zdrowym zupełnie, »dobrowolnie i z wszelkim namysłem i zastanowie»niem takowy ostatniéj woli mojéj zostawuję te»stament, który walor swój zupełny jako własną »ręką pisany i podpisany ma mieć, deklaruję.«

Tu przerwał ksiądz pleban, obecni, dotąd nieruchomi zaczęli się ruszać, krząkać; Dzięgielowski tupał nogą, zdradzając tém swoję niecierpliwość. Po téj przerwie czytał pleban daléj:

»Najprzód z tém się przed Bogiem moim i ca»łym światem protestuję, że, jakiem w wierze »ś. katolickiéj rzymskiéj urodzony i wychowany, »tak w téj wierze umiérać pragnę, wszystkiemi »sakramentami śś. opatrzony, serdecznie sobie »życzę; duszę oddaję Stwórcy, ciało moje ziemi; »proszę, ażeby pochowane było na cmentarzu po»wszechnym; pompy pogrzebowéj nie pretendu»jąc żadnéj. Dla uproszenia wiecznego duszy »spoczynku ofiaruję 2000 złp. na mszy święte; »summę tę wypłaci mój generalny sukcesor...«

Nastąpiła przerwa w czytaniu; ksiądz wydobył swój rożek, zaczął częstować obecnych tabaką. Dzięgielowski doznawał męki człowieka na torturach wyciągniętego. »Generalny sukcesor,« mówił do siebie, »jednemu wszystko zapisał, wszystko albo nic, starosta albo kapucyn.« Przeciwnie pan Jan spokojnie zażywając tabaczkę odezwał się do proboszcza z komplementem: Że wyborna!« na co ksiądz zapewnił: że ją ma od ksieni panien Tarnowskich; poczém czytał daléj:

»Wolą moją ostatnią jest, ażeby mająteczek mój »acz kolwiek szczupły, na rozszarpanie nie poszedł; »*maxima dilabuntur*; postanawiam, iż jednego »tylko całego ruchomego i nieruchomego majątku »dziedzica i sukcesora mieć chcę. Dzieci nie mam, »krewnych wielu; z tych żaden nie będzie moim »sukcessorem, który śmiertelnym zwłokom moim »ostatniéj nie odda posługi, mianowicie, który »znajdować się nie będzie na pogrzebie moim.«

Tu odezwał się w głos Dzięgielowski: »Biorę wszystkich zgromadzonych na świadków, jako byłem na pogrzebie, własną moją osobą.«

»Świadczymy!« odpowiedziano. Ksiądz powtarzając już słowa: »Który nie będzie na moim pogrzebie;« czytał daléj:

»W przypadku takim, gdyby dwóch krewniaków »mojemu asystowało pogrzebowi, który z tych »bliższy mój krewny, tego dziedzicem mieć chcę...

Dzięgielowski znowu się zabiérał do mowy, jednak zamilczał, ksiądz czytał daléj:

»Gdyby zaś asystujący pogrzebowi równie blizko »ze mną spokrewnieni byli, a było ich tylko dwóch, »każdy z nich do połowy majątku ma prawo;